



HISTORIA JACKA BRACIAKA

Hartowanie aktora

W szkole teatralnej Jan Englert kazał mu grać tak, jakby był wysokim, przystojnym blondynem. **A on miał 164 centymetry, chłopski wygląd i pospolitą twarz.** Dziś Jacek Braciak jest gwiazdą i nic nie musi

TEKST JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA FILIP ĆWIK/STUDIO 810

Tylko raz miałem wątpliwości, czy chcę uprawiać ten zawód. A przecież przez lata zarabiałem graniem epizodów i trzecich planów – mówi Jacek Braciak. Do dziś pamięta rolę gońca przynoszącego paczkę w „Ostatniej misji” Wojciecha Wójcika. Reżyser dał mu wskazówkę: „Niech pan nie patrzy w kamerę”. Dopiero asystent podpowiedział mu, że ma przed sobą zawodowego aktora.

– A skąd ja mam wiedzieć? Nie widziałem go w niczym – krzyknął.

– Dzisiaj to brzmi zabawnie, ale wtedy nie – twierdzi Braciak. – Przez lata byłem pogrążony w ogromnej frustracji. Siedziałem w domu, oglądałem filmy, Teatr Telewizji, patrzyłem na swoich kolegów aktorów i pytałem: dlaczego to oni grają, a nie ja?

Główne role zagrał dopiero w wieku 50 lat. Za to od razu z przytupem. Jego kreację w „Córce trenera” krytycy uznali za wybitną, za postać księdza Lisowskiego w „Klerze” dostał Orła. – Przyjmuję tę nagrodę z ogromną wdzięcznością, ale chciałbym ją zadedykować człowiekowi, bez którego nie zdobyłbym państwa zaufania. Mam na myśli Władysława Kowalskiego.

GWIAZDY W BUFECIE

Z KOWALSKIM, SWOIM MISTRZEM I NAUCZYCIELEM, spotkał się w Teatrze Powszechnym w Warszawie, trafił tam na

czwartym roku studiów, w 1991 roku, kiedy szukali kogoś do roli syna postaci granej przez Ewę Dałkowską. On był najniższy na roku. W zespole Krystyna Janda, Joanna Szczepkowska, Franciszek Pieczka, Janusz Gajos, Henryk i Piotr Machaliczowie, Kazimierz Kaczor... – Jak wszedłem do bufetu, poczułem się sparaliżowany – śmieje się Braciak.

– Wykazywał należyty szacunek dla starszych, co w zespole aktorskim jest cechą bardzo dobrze widzianą – wspomina Kazimierz Kaczor. – Do tego umiał zażartować, znaleźć ciętą ripostę, inteligentnie włączyć się w rozmowę. To cechy w bufecie teatralnym bezcenne.

W teatrze grał regularnie, choć role raczej drugoplanowe. W telewizji i filmie – epizody: goniec w kwiaciarni, kibic, monter telewizji kablowej... Spędzał całe dni na planie, żeby wziąć udział w jednej scenie.

Wreszcie podczas wizyty w Krakowie zdecydował, że nie wraca do Powszechnego, rzuca aktorstwo, będzie uczył w szkole podstawowej i podróżował. Telefonicznie zwolnił się z teatru.

– Byłem w kiepskim stanie psychicznym, potwornie umordowany nocnymi powrotami do wynajmowanego pokoju na drugim końcu Warszawy. Jednak nie żałuję tamtej decyzji o wycofaniu się na pewien czas z teatru. To był taki bezpieczny sposób popełnienia samobójstwa. Mogłem je popełnić i wrócić do żywych.

Po tygodniu zadzwonił do Kowalskiego: – Chcę wracać. Przyjmiecie mnie?

– Do mnie też dzwonił po nocy. Poradziłem mu, żeby się napił czegoś kwaśnego i wracał – wspomina Kazimierz Kaczor. – Zespół go przyjął, bo wątpliwości w tym zawodzie to rzecz normalna. Jacek w bufecie się pokajał, my się pośmialiśmy, zyskał jeszcze większą sympatię.

PAWLIKOWSKI, CO TY WIESZ O ŻYCIU?

SZYBKO POJAWIŁA SIĘ RODZINA, dwójka dzieci. Czasami przegląda terminarze z tamtych lat: godz. 10-14 – próba w teatrze, 15-17 – Teatr Polskiego Radia, 19 – spektakl, w nocy – dubbing. W weekendy chałtury. Na premierze filmu „Piotruś Pan” był przebrany za pirata. Na ślubnej ceremonii w Łazienkach wystąpił z większą od siebie karabelą u pasa i doczepianymi wąsami.

– Robiłem to wszystko, żeby utrzymać rodzinę i starałem się robić to jak najlepiej – wspomina. Do dzisiaj pamięta pierwszą reklamę. Ze jeden dzień miał dostać 10 razy więcej niż za plan filmowy. Całą noc się zastanawiał, czego od niego będą chcieć za takie pieniądze, miał powiedzieć tylko dwa zdania. Przed kamerą niemal eksplodował energią, żeby zadowolić reżysera, a ten szybko przerwał: – Jacek, powiedz to normalnie – poprosił. Od tamtej pory lubi grać w reklamach.

Brał wszystko, nie miał żadnych dylematów, czy przyjąć rolę, czy nie.

– Kiedyś kręciliśmy z Pawłem Pawlikowskim w Szwajcarii. On przyszedł do pokoju akurat po wypłacie, wsadzałem zmięte banknoty dolarów pod materac, żeby się wyprostowały – wspomina Braciak. – On zdziwiony: „Jacek, co ty robisz?”. Tłumaczę, że liczę pieniądze, bo w Warszawie mam mieszkanie, ale brakuje mi pralki, telewizora, lodówki, łóżek dla dzieci... Pawlikowski się oburzył: nie myśl o pieniądzach, ale o tym, co robisz, o pracy. Przyznałem mu oczywiście rację, że to bez sensu, kasa tylko psuje ludzi. Ale jak wyszedł, pomyślałem: „Ty palancie. Jesteś urządzony w Anglii, masz markowe skórzane mokasyny, ekstraciuchy i w ogóle niczego nie potrzebujesz. Co ty wiesz o życiu”. Ale po latach muszę przyznać, że miał rację.

„EDI” NA KACU

– **MIAŁ WTEDY W SOBIE** RODZAJ AGRESJI scenicznej i towarzyskiej – wspomina aktor Tomasz Sapryk. – Im mniejsze grał role, tym bardziej chciał brylować, dorwać się do głosu.

Wiedział, że ma talent, był głodny sukcesu. Tylko za bardzo chciał. Lubił zwarcie, kłócił się z kolegami, zarzucał im sztuczność. Pił, znikał, zawałał dni zdjęciowe, spektakle, próby. Kazimierz Kaczor opowiada, że kilkakrotnie wisiła nad Braciakiem groźba dyscyplinarnego zwolnienia z teatru, ale zespół zawsze dawał mu kolejną szansę.

– Prowadziłem hulaszczy tryb życia, zapijałem frustrację, nieumiejętność znoszenia tego niedocenienia, pomijania, upokarzania – wspomina.

Rok 2002. Na casting do filmu „Edi” poszedł po kilkudniowym ciągu, bóje z taksówkarzem i na potężnym kacu, roztrzęsiony.

Piotr Trzaskalski robił film o dwójce bezdomnych, szukał partnera dla Henryka Gołębiowskiego. Braciak wyglądał idealnie: zapuszczony, niedogolony, podbite oko. Właściwie dopóki się nie odezwał, reżyser myślał, że to naturszczyk.

– Szybko zaproponował, że musi wyzbyć się swej „aktorskości”, żeby dobrać się do Gołębiowskiego – opowiada Trzaskalski. – Miałem go za świetnego,

pewnego siebie aktora. Ale Jacek coraz częściej pytał, czy dobrze gra, czy to, co proponuje, ma sens. Wzięłem go na kolację i mówię: „Nie kombinuj, nie zmieniaj siebie. Masz wrażliwość, charyzmę, wszystko, czego potrzeba wybitnemu aktorowi. Po prostu uwierz w siebie”.

– Ta rozmowa uratowała mi wtedy życie – mówi Braciak. – Nie miałem doświadczenia w czytaniu scenariuszy i dopiero podczas kręcenia filmu zorientowałem się, że mam całkiem sporą rolę.

Zamawiał jedzenie w bufecie teatralnym, kiedy na małym śnieżącym telewizorku zauważył, jak Ewa Kasprzyk podczas gali Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni odczytuje werdykt: Złoty Lew za najlepszą rolę drugoplanową dostaje Jacek Braciak.



Kasa dała mu wolność, wreszcie może odmawiać i wybierać role

REŻYSER PIOTR TRZASKALSKI

– Wiedziałem, że w teatrze daję sobie radę, ale nie lubiłem planu, kamery, filmu, czekania. Nie rozumiałem tego medium. Ludzie mi gratulowali, a ja tylko myślałem, że zaraz się wszystko wyda, że ja nie zasłużyłem na tę nagrodę – mówi Braciak.

Po sukcesie „Ediego” przez pół roku nie dostał żadnej propozycji filmowej, wreszcie Maciej Dejczer zlitował się i dał mu w „Na dobre i na złe” niemałą rolę ranego bandyty, którego wiezie karetka.

NABIĆ SOBIE PIĘŚĆ

GRAŁ I PIŁ CORAZ WIĘCEJ. Filmy, telenowele, seriale komediowe, kryminalne (doskonały w „Glinie” Władysława Pasikowskiego jako komisarz Józwiak i u Macieja Dejczer w „Oficerze”). W programie

Kuby Wojewódzkiego powiedział o sobie, że jest „serialową szmatą”.

– Chyba w 2009 roku kręciłem rano „Brzydulę”, po południu „Ludzi chudego”. A wieczorem spektakl – wspomina Braciak. – Był taki dzień, że w teatrze nie miałem gdzie odpocząć. Poszedłem na zaciemnioną scenę, położyłem się wyczerpany i pogubiony. Próbowałem sobie przypomnieć, co dzisiaj gram.

W 2009 roku, po prawie 20 latach grania, pierwszy raz odważył się nie przyjmując propozycji. Pokusa była duża: główna rola w komedii romantycznej.

Czy tyle lat grania ról drugoplanowych czegoś go nauczyło? – Wtedy myślałem, że to strata czasu, dzisiaj wiem, że to najlepsze, co mi się w życiu przydarzyło – odpowiada. – Nabiłem sobie, jak mówią w żargonie pięściarskim, pięść. Na planie szlifowałem technikę, zbierałem doświadczenia.

– Dla aktora nie ma większego nie-szczęścia, niż zacząć od sukcesu – mówi Kazimierz Kaczor. – Sukces rozpieszcza, daje fałszywe poczucie, że tak będzie wyglądał ten zawód. Jacek zaczynał od małych ról, ale to dało mu czas na naukę, hartowanie się, znalezienie swojego stosunku do świata i tego zawodu. Przez 30 lat grał wszystko, przeżył rozczarowania, upokorzenia, chwile satysfakcji. Ale dzięki tym doświadczeniom jego duże role są tak dojrzałe, głębokie i prawdziwe.

Kiedy Łukasz Grzegorzek zaproponował Braciakowi główną rolę w „Córce trenera”, zaznaczył, że po pierwsze, aktor musi przez pół roku trenować fizycznie. A po drugie, nie ma pieniędzy na gażę.

Braciak powiedział, że treningi mogą zacząć już od najbliższego poniedziałku, bo on zagra nawet za darmo.

– Miał dość seriali i od pewnego czasu szukał swojej głównej roli. To był głód poważnego grania – mówi Grzegorzek. – Na pierwszych zajęciach po 10 minutach zrobiło mu się słabo, wymiotował ze zmęczenia, ale wrócił i zasuwał dalej. I tak przez sześć miesięcy. Ten charakter wyniósł z domu. To chłopak, który nie boi się pobrudzić sobie ręk, wie, że w życiu trzeba ciężko pracować.

ATAWIZM WIEJSKI

PRZEZ LATA BRACIAK ZMAGAŁ SIĘ Z dwoma kompleksami: wiejskim pochodzeniem i wzrostem.

Wychował się we wsi Rzecin: 12 domów, bez kanalizacji, wokół pola. Kiedy zimą wstawał rano, w wiadrach z wodą był lód. Rodzice mieli 7 hektarów ziemi. Skończył technikum mechanizacji rolnictwa, tam okazało się, że maszyny rolnicze interesują go mniej niż książki, konkursy recytatorskie i teatr amatorski.

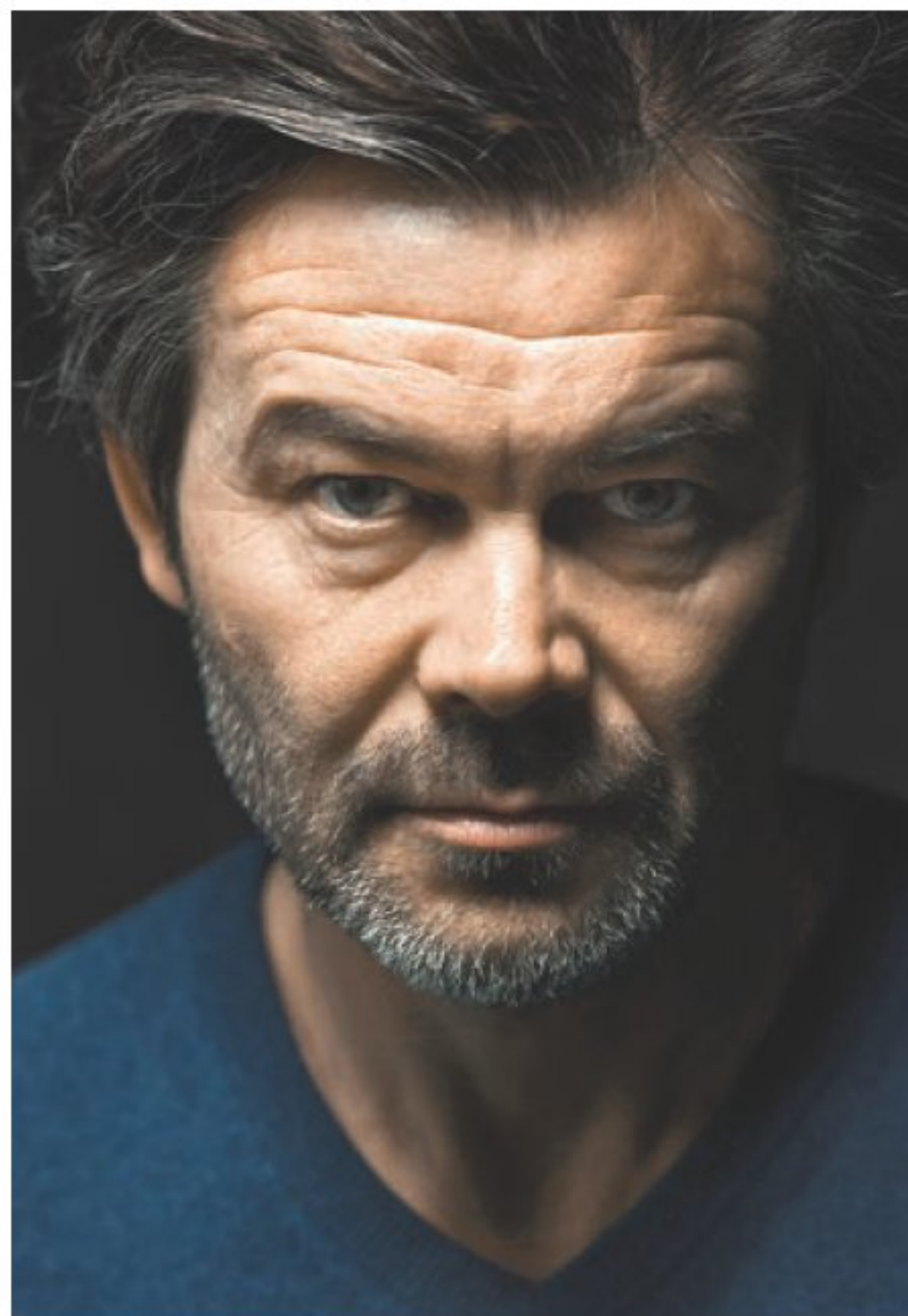
– W Warszawie w szkole teatralnej zaczęły się schody. Naokoło ludzie z wielkiego miasta, synowie profesorów, obyci z kulturą. A mój podstawowy problem polegał na tym, że waliłem to, co myślałem, prosto z mostu. Zyskałem opinię nieokrzesanego kmiota.

Kolega z roku: – Wyszczekany, wypowiadał się na każdy temat, zakompleksiony, zdolny, bezwzględny. Kiedy przyszła fuksówka, gnębił młodszych kolegów, jakby chciał tym zbudować swój autorytet.

Do dzisiaj pamięta, jak poznał dziewczynę z dobrego warszawskiego domu. Pod kino przyprowadziła ją mama. Kiedy po kilku dniach to ona odebrała telefon, przedstawił się i zapytał grzecznie, czy może rozmawiać z córką. Powiedziała tylko: „Ty, Braciaku?” i odłożyła słuchawkę. – Minęło tyle lat, a ja wciąż słyszę pogardę w jej głosie – mówi. – Czułem, że nie wiem, kim jestem, skąd pochodzę. Jedni dziadkowie z okolic Lublina, a korzenie ojca to Słowacja. Ale gdzie dokładnie? Nie wiem – opowiada.

Przyznaje, że dlatego przez lata nosił marynarki i buty z mocną podeszwą (trampki nie wchodziły w grę). To był rodzaj kostiumu, wyobrażał sobie, że tak noszą się inteligenci. Z czasem zaczął nawet kupować przedwojenne zegarki, klamki... – Nie, żeby oszukiwać, że moje, rodowe, ale chciałem mieć przedmioty osadzone w przeszłości.

Co zostało w nim z chłopaka ze wsi? – Jakaś melancholia, kłopot ze skupiskami miejskimi. Moja ukochana Saska Kępa przypomina mi Zwierzyń, najbliższe miasteczko od mojej wsi. Poza tym zaradność. Ja i przyszyję, i upiorę, i zarobię na rodzinę. Przez lata obsesyjnie



”

Prowadziłem hulaszczy tryb życia, zapijałem frustracje

JACEK BRACIAK

sprawdzałem, jaka temperatura będzie w nocy. Dopiero niedawno zorientowałem się, że to jakiś atawizm wiejski, obawa, czy ozimina nie wymarźnie.

Kłopoty ze wzrostem też zaczęły się w szkole. Pamięta uwagi: „Braciak, musisz grać jak wysoki blondyn z błękitnymi oczyma”. Miał 164 cm wzrostu.

– Aktor z posturą Jacka Braciaka nie wychodzi na scenę pewny siebie. Musi zbudować absolutną świadomość ciała, techniki, tego, co chce powiedzieć. Miał pod górkę przez lata, to prawda, ale dzięki temu wyszlifował technikę i odsadził kolegów – mówi Jan Englert, nauczyciel Braciaka z Akademii Teatralnej. – Zapaśnicz mówił o Łomnickim: „Jak Tadek się nadmie, to i 190 wyciągnie”. I to

prawda. Przy takich warunkach nie można mieć tylko talentu, trzeba ciężko zasłużyć. Niski aktor musi być ambitny.

BYŁEM BUCEM

– **BYŁEM** ABSOLUTNIE SKUPIONY na sobie – opowiada Braciak. – Zresztą w ogóle ludzi nie lubiłem. Kiedyś ganiałem faceta po stacji benzynowej, bo ośmiesił się poprosić o autograf na paragonie. Jak ktoś chciał zdjęcie, to pytałem: jak się nazywam. Jak nie wiedział albo mylił z Arturem Barcisiem, bo to się zdarza często, miał przerąbane. Byłem aroganckim bucem, wynikało to z moich kompleksów.

Kilka lat temu, po rozwodzie, zamieszkał sam, pierwszy raz w dorosłym życiu. Musiał spotkać się ze sobą. Pomyślał: z takim gościem jak ja to się nie da, irytuje mnie. Zaczął się zmieniać.

Dzięki pieniądзом zarobionym w reklamie kupił kilka mieszkań i został rentierem. Po raz pierwszy w życiu ma komfort, że może robić to, co chce. Od listopada 2017 r. pracował tylko kilka dni w serialu i dwa na planie filmu o Leopoldzie Tyrmandzie (jako Zbigniew Herbert).

– Inne rzeczy zaczęły mnie interesować: samo życie, jak od niego nie uciekać, jak ułożyć, żeby było znośne – tłumaczy.

– Kasa dała mu wolność, wreszcie może odmawiać i wybierać role – mówi Piotr Trzaskalski. – Ale to nie jest ten typ, że rzuci aktorstwo. Jest od niego uzależniony.

Jeden z ulubionych dowcipów Braciaka to ten o aktorze, który w depresji chodził do terapeuty. Któregoś razu zjawia się uśmiechnięty. Okazało się, że ktoś rozpoznał go w sklepie.

– Jackowi uznanie zawsze było potrzebne, może bardziej niż innym. Kiedy przyszło, uspokoił się – mówi Tomasz Sapryk. A Jan Englert dodaje: – Ze szkoły pamiętam Braciaka jako ujadającego, zakompleksionego, zdolnego chłopaka. Przez te lata odbył długą drogę. Trzeba mieć dużą klasę, żeby odbierając Orła za rolę w „Klerze”, podziękować innemu aktorowi. Jacek wie, co i komu zawdzięcza. ■

jacek.tomczuk@newsweek.pl